



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Ryczka i szolka

Author: Aleksander Nawarecki

Citation style: Nawarecki Aleksander. (2006). Ryczka i szolka. W: Z. Woźniczka (red.), " Śląska codzienność po drugiej wojnie światowej" (S. 239-248). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Aleksander Nawarecki
Uniwersytet Śląski

Ryczka i szolka

Życie codzienne, takie jakie znam, to moje życie codzienne. O innym nie mam pojęcia. Codziennność, o jakiej myślę, schowana jest za zasłoną domowych ścian, to strefa wewnętrzna, zamknięta w rodzinnych relacjach, w prywatnie uporządkowanej przestrzeni i obowiązujących tam zwyczajach. Tak osobiste, intymne pojmowanie codzienności zbliża ją do wymiaru egzystencji, a zarazem wyklucza wszelki dystans, utrudnia opis, wypędza ducha naukowych badań. Trudno o niej mówić, bo skoro należy do prywatności, to musi chronić ją tabu. Ale jednocześnie ta sama codzienność wydaje się zaprzeczeniem tajemnicy. I choć jakieś jej niesforne włókna kryją się w domowych zakamarkach, w wybrykach i dziwactwach domowników, to cała reszta, główny jej nurt toczy się całkowicie jawnie, aż banalnie, w rytmie najzwyklejszych, monotonicznie ponawianych czynności. Codziennność wydaje się tak oczywista, że aż przezroczysta, więc niedostrzegalna. I to stanowi największy kłopot poznawczy.

Życie codzienne na Śląsku, więc moje życie na Śląsku, to codzienność przeżywana niegdyś w moim katowickim, śląsko-kresowym, półśląskim domu rodzinnym. Aby cokolwiek o niej powiedzieć, muszę z „archeologicznym” wysiłkiem cofnąć się w głąb dzieciństwa, aż do przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, by skończyć na początku siedemdziesiątych, kiedy przestając być chłopcem, poluzowałem więzi z domowym rytmem. Co w tej codzienności było śląskie? Zapewne to wszystko, co odbiegało od ogólnopolskiego kanonu, ściślej – to, co pasowało do moich śląskich dziadków, ciotek i wujków, a kresowym dziadkom i stryjostwu wydawało się obce czy nawet egzotyczne. Pierwsza różnica, która przychodzi mi na myśl, to urodziny.

Kiedy obchodziłem je z mamą i babcią, wtedy ojciec krzywił się na „geburstag”, dając do zrozumienia, że godne celebry są jedynie imieniny. Gdy urodzinowi goście, przeważnie krewni mamy, odwiedzali rodziców, wówczas na stole czekała na nich kawa i ciasto, a potem była kolacja. Kiedy zaś pojawiali się goście imieninowi i przewagę zyskiwało liczne rodzeństwo ojca, wtedy kolejność nakryć była odwrotna. Lecz jeśli kalendarz pozwalał łączyć obie uroczystości, a składki gości z obu stron osiągały równowagę, to mama popadała w straszną rozterkę i nie wiedziała co podać.

Ale to przecież zwyczaje świąteczne, więc antypody ściśle pojmwanej codzienności. Codziennosc bowiem, z samej definicji, pozbawiona jest tych nadzwyczajnych rytuałów, a toczy się z dnia na dzień, w rytmie rutynowo powtarzanych czynności, przemieszanych z bezkształtną, bezrefleksyjną krzątaniną. I jeżeli nawet odkrywamy w tym krzątaństwie, jak nazywa je Jolanta Brach-Czaina, utajony dramat egzystencji, to nie zniesie to wrażenia strukturalnego chaosu. Jak ją zatem ująć, za co złapać? Najpewniej za to, co jednostkowe i materialne, co leży lub stoi w zasięgu ręki. Dlatego sięgam po rzeczy. Ale które z nich są śląskie? Jak je rozróżnić, skoro nie można wierzyć słowom? W bifyju przecież dzieje się to samo, co w kredensie, a szpanowanie gardin w niczym nie jest różne od naciągania firanek, jajecznicza zaś smażona na smalcu smakuje tak samo jak przygotowana na fecie i trudno tu szpyrkę oddzielić od skwarki.

Ale z szolką i ryczką jest chyba inaczej, bo to śląskie słowa i zarazem typowo śląskie przedmioty. Można, oczywiście, wskazać rzeczy o podobnym wyglądzie i zastosowaniu, ale nie sposób uznać ich za tożsame. Co więcej, chwytając szolkę i ryczkę, rzeczywiście dotykam codzienności, podejmuję bowiem czynności tak elementarne, jak siedzenie i picie. Głęboko wnikać w jej wymiar intymny, dotykam ciała, bo szolka i ryczka bliskie są ust, dłoni i pośladków. Ten niezwykle mariaż pospolitości z intymnością najpełniej dokonuje się w kuchni, toteż ryczka i szolka słusznie uważane są za przedmioty kuchenne, rzadko wykraczające poza ten matecznik codzienności. A że w kuchni królowała moja śląska babcia Franciszka, to stolica codzienności niemal całkowicie należała do Śląska. Tutaj więc mieści się główna scena mojej opowieści, gdyż wszelkie dziecięce wyjścia poza kuchenny próg miały już znamiona eskapady. Do przedpokoju, komórki czy łazienki było ledwie pół kroku, ale droga do piwnicy czy na strych jawiła się wyprawą odsłaniającą inny, niejako „romantyczny” wymiar codzienności. Natomiast sypialnia dziadków czy pokój stanowiły terytorium dyskretnie skażone oficjalnością. Niechętnie przekraczałem

te granice, a ryczka, jak mi się zdaje, podzielała moje kuchenne zakorzenienie.

A co to jest ryczka? W tej kwestii nie można ufać suchej erudycji leksykonów, bo ani niemieckie słowo *Hocker*, ani polskie „podnózek albo klęcznik” nie jest wystarczającym wyjaśnieniem. W niektórych rejonach Polski ta rzecz bywa nazywana „stołeczkiem” i wtedy wszystko jest jasne. Ale chyba każdy może wywołać z pamięci lub z wyobraźni taki pomniejszony stołek lub zydeł, a raczej zydelek, rodzaj krzeselka bez oparcia, niski, rozłożysty taborecik. Ryczka jest prosta w konstrukcji i wykonaniu (to przecież mebel kuchenny), solidna, stabilna, o blacie (a zarazem siedzisku) zbitym z jednej lub dwóch deseczek, często z otworem w środku dostosowanym do rozmiaru dłoni – to dodatkowa gwarancja poręczności, bo ryczka, jako sprzęt przenośny, musi być poręczna.

W moim domu była jedna ryczka i trudno sobie wyobrazić, żeby ich było więcej, czego jednak wykluczyć nie mogę. Jedna, ale wspólna dla wszystkich domowników, choć do każdego należała inaczej, z każdym miała inną relację. A skoro stacjonowała w kuchni, to zacząć wypada od babci, gdyż to jej jurysdykcja. Ryczka była potrzebna, konieczna, wręcz niezastąpiona w trakcie obierania ziemniaków. Babcia zawsze się tym zajmowała, zawsze, to znaczy codziennie, bo każdego dnia strugało się kartofle, także wtedy, kiedy na obiad były kluski, i trzeba było dodatkowo obrać kilka sztuk. Babcia strugała je, siedząc na rycdze, pochylona nad wiadrem ze śmieciami. Zawsze swoim ulubionym nożykiem do kartofli, który czasem ginął, zwykle mieszając się z obieżynami. Trudno było go zastąpić innym, mniej wygodnym, ale czym jest siła przyzwyczajenia, pokazywała dopiero ryczka. Bez niej struganie kartofli wydaje się po prostu niemożliwe.

Kiedy do domu wracał dziadek albo kiedy z domu ceremonialnie wyprawiał się do kościoła, na próbę chóru lub przechadzkę, wtedy na chwilę zawieszeniu ulegał śląski matriarchat. W przedpokoju rozlegało się tyleż władcze, co rozpaczliwe wołanie: „Francla, gdzie jest ryczka?” Bo bez niej i bez łyżki nie było możliwe butów obuwanie i butów zezuwanie, a także butów czyszczenie. Buty domagały się ryczki, buty zaś w życiu dziadka były nadzwyczaj ważne. Z szacunku dla butów wyuczył się szewstwa, szewstwo znał i cenił, chlubił się szewstwem, choć nigdy profesjonalnie nie uprawiał tego zawodu. W ogromnym, dębowym biurku dziadka, chlubie i ozdobie jego pokoju, w biurku magistrackiego urzędnika, w domowym biurku pana rendanta, pachnącym wodą kolońską, miał dziadek specjalną szufladę ze specjalnymi przegródkami, gdzie w sąsiedztwie biurowych przyrządów, w metalowych puzderkach mieściła się najcenniejsza część szewskiego warsz-

tatu – jakieś miniaturowe gwoźdźiki i blaszki. Reszta – kopyto, kołki, kołeczki oraz młotek z wyslizganym trzonkiem i podkręconą główką – stacjonowały w drewnianej skrzynce, której nikt nie śmiał dotykać. Wszystkie buty dziadka, zresztą niezbyt liczne i niezbyt nowe, ale w najlepszym gatunku, solidne i zadbane, były pastowane i glansowane przynajmniej raz dziennie, zawsze starannie i długo. Zresztą nie tylko dziadkowe – także wszystkich innych domowników, bo ich czyszczenie było dobrowolną posługą dziadka dla dobra rodziny i piękna świata. Żeby tego dokonać, klękał pokornie w swojej starości i zawsze wykorzystywał ryczkę. Bez ryczki był zupełnie bezradny wobec butów.

Świat obuwia nie był jedyną pasją dziadka Stanisława. Inną namiętnością była troska o zdrowie: lekarstwa, wody mineralne, regularne, długie spacer, gimnastyka, a w jej ramach wiele mokrych ćwiczeń wedle metody księdza Kneippa. Zasadniczy rytuał tych obłucji zaczynał się bodaj o piątej rano i trwał co najmniej godzinę, głównie w łazience. Zanurzanie i skrapianie ciała, przysiady, nasiadówki, masaże. A wszystko za pomocą ręczników, garnka z ciepłą wodą, przynoszonego z kuchni, miski i, oczywiście, ryczki, która wczesne poranki, a także wieczory zawsze spędzała w łazience.

Ryczka była też potrzebna dziadkowi do nakręcania wahadłowego zegara wiszącego i bijącego w pokoju (zawsze robił to o tej samej, późnopołudniowej porze). Ale każde wspięcie się wyżej, czy to w kuchni, czy w pokojach, sięganie do górnych półek i szafek, odkurzanie mebli, obrazów, odczytywanie licznika gazowego niechybnie wymagało ryczki. W domu nigdy nie było drabiny, więc ryczka uczestniczyła niemal we wszystkich domowych wspinaczkach, bo krzesło nie było od tego, a wchodzenie na taboret, na te paści, jak mówiła babcia, uchodziło za niewygodę, nieostrożność i wiązało się ze zbędnym ryzykiem.

Była to także moja ryczka. Moją była od maleńkości, od zawsze, jak daleko sięgam pamięcią. To pierwszy mebel dziecka, w sam raz na jego miarę. Pomagała mi wstawać i chodzić, na niej też musiałem usiąść po raz pierwszy i długo pozostawała moim podstawowym kuchennym siedziskiem. Pewnie też była moją pierwszą większą zabawką, miniaturowym placem zabaw, garażem dla autek i skocznią narciarską, a zwłaszcza blatem do rysowania, gdyż dostęp do stołu jakoś zawsze był utrudniony.

Nigdy nie zapomnę tej niezwyklej nocy samotnie spędzonej w kuchni, samotnie, ale jakby z ryczką. Pewnego wieczoru, gdy jak zwykle buntowałem się przeciw spaniu i nie chciałem iść do łóżka, rodzice nieoczekiwanie zaakceptowali mój protest. Nie musiałem się myć ani rozbierać, mogłem całą noc zostać w kuchni i robić, co tylko zechcę.

Czekał mnie niełatwy eksperyment rezygnacji ze snu, co w życiu czterocy pięciolatka było jak zmaganie Jakuba z aniołem, jak negocjowanie śmierci. W kuchennej samotności – jak to zapamiętałem – towarzyszyła mi właśnie ryczka, najpierw się na niej bawiłem, potem opierałem głowę o jej kant, broniąc się przed snem, bo na krześle czy podłodze zasypiałem natychmiast. Gramolilem się z nią i szarpałem jak ze zwierzęciem, dopóki nie usnąłem w jej drewnianych objęciach.

Inne dzieci z podwórka, wynosiły czasem na podwórko swoje ryczki, wkopywały w piasek, budowały z nich domy i sklepy, dziewczynki sadzały na nich lalki. Ja nie mogłem sobie na to pozwolić, by rzecz tak potrzebną wyrwać z kuchni i pokalać ją marasem z placu. Aczkolwiek dwa razy w roku, kiedy przed świętami nastał czas trzepania dywanów, wtedy na podwórko ruszał rodzinny korowód, a w nim, jak w kościelnej procesji, niesione były tepich, kloper, szczotka, a także ryczka. Bo bez niej, przynajmniej mnie, trudno było sięgnąć klopsztangi.

Ojcu nie była do tego potrzebna, a zresztą mój kresowy ojciec z zasady nie używał ryczki. Nie należał bowiem do jej świata, wszak w kuchni bywał rzadko i krótko. Ale to właśnie on był jej fundatorem. Zorientował się bowiem, szybko jak ważną rolę pełni w śląskim domu ten mebelek. A że poprzedniczka bohaterki tej opowieści, którą pamiętam bardzo mgliście, była stara, sfatygowana i rozlazła, toteż ojciec zamówił u stolarza pracującego w bazie transportowej, którą kierował, parę solidnych, pachnących drewnem i farbą sprzętów: taboret i właśnie ryczkę. W tej wspaniałomyślniej donacji widzę dowód mądrości ojca, wyczucia obcej, nie do końca znanej i lubianej kultury. Mógł być dumny, że to z jego ręki, z jego łaski, my, ślascy drobnomieszczanie, otrzymaliśmy nową, dobrą, bardzo porządną ryczkę, która zresztą przetrwała aż do dziś, nadal zachowując świetną formę. Ale o ojcu nie powiedziałem całej prawdy. Kiedy kilkanaście lat później, już po zawale, przedwcześnie znalazł się na rencie i długie dni rencisty spędzał w domu, kiedy wreszcie zabrał się za malowanie obrazów, wtedy szybko wyszło na jaw, że przy napinaniu blejtramów, przycinaniu ramek, a nawet przy samym malowaniu ryczka okazała się nieoceniona i więcej z niej pożytku niż z profesjonalnych sztalug.

O szolce trudniej mi mówić niż o ryczce, bo tego słowa nigdy nie słyszałem w domu. U nas piło się ze szklanek i filiżanek, były także jakieś garnuszki, czyli gorczki, a potem kubki, które pojawiły się w epoce plastiku (np. plastikowe nakrętki na termos). Nie używaliśmy zatem szolki, ale to bardzo śląskie słowo znałem z podwórka i ulicy, ze szkoły, a zwłaszcza z bieruńskiego domu ciotki Waleski. Czy zresztą mógłbym zapomnieć, że jagodowy kompot, którym razem z buchtami często-

wali mnie sąsiedzi, Państwo Kokotowie, był rozlewany do szolek? Ale co dokładnie oznacza ten wyraz, wcale nie jest oczywiste. Wedle wielce zasłużonego, bo pierwszego, choć tylko popularnego, słownika gwary śląskiej szolka to „szklanka, filiżanka”. A zatem jedno i drugie, bez różnicy. Podobnego objaśnienia spontanicznie udzielił mi pierwszy indagowany w tej kwestii Ślązak – Zbigniew Kadłubek. Czyżby więc na Śląsku nie odróżniano szklanki od filiżanki, albo lekceważono tę różnicę, nazywając oba przedmioty tym samym słowem? To niepokojąca hipoteza, rzucająca dziwne światło na stołowy aspekt śląskiej codzienności. Szukajmy dalej. W słowniku Heleny Synowiec i Bożeny Częstki brakuje co prawda takiego hasła, ale tylko przez techniczne przeoczenie, bo w siostrzanym haśle „szklonka” (po polsku szklanka) znajdujemy precyzyjną specyfikację: „herbatę pijemy ze szklonki, kawę z szolki”. Byłaby zatem „szolka” nazwą wyraźnie przypisaną filiżance, jej śląskim odpowiednikiem, lokalnym synonimem. Ten sposób rozumienia częściowo potwierdza *Śląski słownik ilustrowany* Marka Szołtyśka, gdzie czytamy lakoniczne objaśnienie: „filiżanka lub kubek”. Więc znowu nazwa o podwójnym zasięgu, ale różnica między obu naczyniami tym razem wydaje się niewielka. Niezbyt istotna była też dla mojej babci, skoro porcelanowy kubek nazywała filiżanką. Różnica ta w istocie polega na posiadaniu lub braku spodeczka, bo kubek można chyba uznać za nowoczesnego potomka filiżanki, za jej wersję uproszczoną i poprawioną. Oba naczynia są wykonane z nieprzezroczystej, ceramicznej masy, z obu możemy pić kawę i herbatę, ale co najważniejsze – oba są wyposażone w uszko. Szolka musi mieć uszko, dodaje kompetentny informator – ojciec Jolanty Tambor, a my oboje z Jolą zgodnie przytakujemy, chwytając się tego uszka jako namacalnej cechy dystynktywnej. Mawia się przecież na Śląsku: „baba bez brzucha, jak szolka bez ucha”.

Najwyższa pora, by zajrzeć do słownika języka niemieckiego i znaleźć tam źródłowe słowo *Schale*. Jego pierwsze znaczenie, to „łuska, łupina, skorupa”, a w nowoczesnej terminologii technicznej oznacza także warstwę izolacyjną, dlatego porcelanowe izolatory na słupach wysokiego napięcia bywały też w hutniczo-górnictwym Chorzowie nazywane szolką. Drugie znaczenie wyrazu, to „czarka, miseczka, filiżanka, wanienka, szalka do wagi”. To cytat z *Wielkiego słownika języka niemieckiego*, bo w innych, nowszych i mniejszych leksykonach nie wspomina się o filiżance. Łatwiej trafić na ten kontekst w objaśnieniu zdrobniałego *Schölchen* – „miseczka, czareczka, filiżaneczka”. Znamienne brzmią podane tam związki frazeologiczne: *Eine schale kaffe*; *Ein schölchen kaffe*, co sugeruje, że w rachubę wchodzi przede wszystkim lub wyłącznie filiżanka do kawy. To połączenie jest bardzo

istotne, bo jak wyjaśniła mi Jolanta Tambor, *Schale* jest nazwą filizanki kawowej, i to nazwą podstawową, ale tylko w Austrii, czego niestety nie pokazują nasze ogólnoniemieckie słowniki. Austriacki wyraz *Schale* poddany został przegłosowi *a* w *o* i uzupełniony słowiańskim formantem zdrabniającym *ka*, by w końcu stać się śląską *szolką*. Jej droga na północ nie była daleka, bo przecież Śląsk do 1740 roku podlegał Habsburgom. Historyczny przebieg tego procesu zdaje się zgodny ze szlakiem kawy, która trafiła do Austrii wraz Turkami w 1683 roku. Wkrótce Wiedeń stał się europejską stolicą kawy, a właścicielem pierwszego „kafenhausu” był Polak, Jerzy Kulczycki. W jego kawiarni zaczęto ją też słodzić i mieszać z mlekiem. Na początku ten modny płyn podawano w orientalnych naczyniach (turecką mokkę w miedzianych czarkach), które z czasem wyparły specjalne filizanki, zyskujące nad Dunajem własną nazwę – *Schale*. I potem te miseczki-szaleczki powędrowały ze stolicy na śląską prowincję. Ale chyba niezbyt szybko płynęła kawa na północ, skoro pierwsze warszawskie kawiarnie pojawiły się (za pośrednictwem saskiego dworu, więc z zachodu) pod koniec XVIII wieku. Kłopot polega na tym, że w krainie szolki, tj. na ludowym „zielonym” Śląsku i w plebejsko-robotniczym regionie Oberschlesien, rządzonym od 1740 roku przez Prusaków, rzadko pijano luksusową kawę albo nawet nie pijano jej wcale. A jeżeli już, to jej tanią, zbożową imitację, *melckawę*. Do szolki znacznie częściej nalewano mleko, wodę, kompot, także herbatę (bo piwo to chyba jednak nie). Ale czy wiemy, jak wyglądała ta nasza „postaustriacka” szolka? Z pewnością nie była to szklanka, bo ta ma swoją własną nazwę („szklonka”), a poza tym to delikatne naczynie nigdy nie zyskało popularności w ubogich domach. Tę zyskała dopiero, ale znacznie później, tzw. musztardówka, wykonana z lichego, grubego szkła, na tyle tania, że mogła stanowić gratisowe opakowanie musztardy. W niektórych rejonach południowego Śląska, a na pewno w niektórych domach, co dziś poświadcza mama Zbyszka Kadłubka, to niezbyt wyrafinowane opakowanie szklane i tylko ono jest nazywane szolką (dodajmy, że opakowanie, łupina, obwoluta to też *schale*). Ale inni Ślązacy nazywają je musztardziokiem, albo jeszcze dokładniej – zymfciokiem (od niemieckiego *senf*). Ów lokalny zwyczaj zrównania musztardówki z szolką zdaje się świadczyć o jej postępującej degradacji. Wszak kojarzona jest z naczyniem o małej wartości użytkowej, estetycznej, wreszcie materialnej. Ale już bez obrazy myślę o postawieniu znaku równości między szolką a współczesnym ceramicznym kubkiem, też niedrogim, popularnym i uniwersalnym w użyciu. Kłopot w tym, że jego geneza jest dosyć późna, wiąże się bowiem z wynalezieniem nowego materiału, ceramitu, co dokonało się dopiero w czasie drugiej wojny światowej.

Pod migotliwą nazwą szolki, podobnie jak w Austrii, musiała kryć się jakaś forma filizanki, zapewne pozbawiona spodka, też bez wyrafinowanego ornamentu, wykonana z taniego, a zarazem solidnego materiału. Raczej nie z fajansu (bo farfury okazały się niezwykle kruche), więc chyba jednak z porcelany. Ale ta nie mogła być cienka i delikatna, jak produkty chińskie czy ich miśnieńskie naśladownictwa, które przez cały wiek XVIII i większość XIX pozostawały absolutnym luksusem.

Tyle tylko do niedawna wiedziałem, a raczej domyślałem się na ten temat, aż nagle przypomniała mi się scena sprzed około dziesięciu lat. W czasie urodzin mojego ojca chrzestnego jedna z goszczących na spotkaniu osób, kuzynka moich kuzynów, a zarazem żona mojego kolegi z sąsiedztwa, Elżbieta Jochymczyk, wręczyła jubilatowi elegancko zapakowaną paczuszkę, mówiąc: „proszę przyjąć jako prezent prawdziwą śląską szolkę”. Nie pamiętam zawartości tego pakunku, ale zaszokował mnie kontrast gminnie kojarzącego się przedmiotu z eleganckim papierem firmowym, na którym dostrzegłem złoty nadruk „Desa”. Kiedy więc przed paroma dniami przypomniałem sobie to zdarzenie, to po wieloletniej zwłoce podjąłem ów zaniechany trop i natychmiast udałem się na ulicę Mariacką do katowickiego salonu sztuki. I zażądałem śląskiej szolki. Niezawodna Grażyna Czakańska nie wiedzieć skąd, być może ze swojego brynowskiego domu, wydobyla jeden pięknie nadszczerbiony egzemplarz – reklamówkę „kawy Bohn”, i ofiarowała mi na własność. Co więcej, obdarowała mnie pewnością, że śląska szolka nie jest mirażem ani epizodem gwarowej onomastyki, ale faktem historycznym! Faktem materialnym i estetycznym zarazem, choć nieopisanym dotąd przez historyków sztuki. Jej właściwa historia sięga drugiej połowy XIX wieku, kiedy na terenie Śląska, głównie Dolnego, masowo powstawały zakłady ceramiczne. W 1835 i 1845 roku dwie fabryki w Wałbrzychu, w 1859 roku w Jedlinie Zdroju, w 1860 roku w Jaworzynie Śląskiej. Do końca stulecia było ich tu co najmniej dziesięć. W 1922 roku powstał bogucicki Giesche, w 1924 roku – Ruda Śląska Bykowina. Serie białych kubków z uszkami i malaturą były coraz dłuższe, a ceny spadały. Szczególnie po roku 1896, kiedy Wałbrzych zastosował kalkę i wszyscy producenci zgodnie zrezygnowali z ręcznie malowanych ozdób. Wtedy szolki stały się tak powszechnym i pospolitym towarem, że producenci nie sygnowali ich znakiem markowym. Najwyraźniej nie przysparzało im to prestiżu, a w tej masówce zacierało się też autorstwo przejmowanych i powielanych powszechnie wzorów. Ale śląski lud chętnie je kupował i używał, bo były trwałe, wygodne, poręczne i nie kosztowały wiele. I z dumą wieszano je na romie, na śląskiej romie, bo tam było ich wła-

ściwe miejsce. Wyjaśnijmy, że jest to drewniana ramka-półka, umocowana na ścianie, z półeczką na młynek do kawy i dzbanuszek do śmietanki, a przede wszystkim z haczykami na szolki. („Tako roma momy doma” – skandowali w latach siedemdziesiątych kibice zabrzańskiego Górnika, który wtedy rozgrywał swe heroiczne boje z rzymskim klubem footballowym AS Roma, rozsławiając imię śląskiej piłki i Śląska całego). Naczynia wieszano w taki sposób, by w kuchni była widoczna ilustracja malowana tylko z jednej (zawsze z lewej) strony uszka. Na tych obrazkach zdobiących szolki, szczególnie w wersji pamiątkarskiej, bo takie też istniały, umieszczano czasem panoramy śląskich miast, co dowodzi, że śląska szolka rzeczywiście była śląska.

W naszym domu, oczywiście, też była roma, choć na haczykach wisiały zielone talerze z motywem liści, a pod spodem – makatka. Szolek, jak się rzekło, nie było, a komplet filiżanek Gieschego z połączonym brzegiem i czerwonymi paskami stał w pokojowym kredensie, szklanki – w kuchennym bifeju. Taki stan rzeczy zapanował już przed wojną. Widzę w tym skutek kulturowego awansu dziadków i ich umiarkowanej zamożności. Czyżby wstydziło się tego znamienia śląskości, jakim była szolka? Raczej nie, sądzą bowiem, że w przypadku dziadka miało to związek z jego śląsko-mieszczańskim, solidno-szacownym zaufaniem do materiałów w dobrym gatunku, do garniturów z bieleckiej wełny, do angielskich butów z świńskiej skóry i szlachetnie fornirowanych mebli. Niech za obronę dziadka posłuży autorytet urodzonego w Austrii Rainera Marii Rilkego, który w 1925 roku ubolewał nad inwazją tandetnych przedmiotów codziennego użytku produkowanych na przemysłową skalę, rzeczy pozbawionych charakteru. Ten masowy trend, inwazję rzeczy „pustych i obojętnych”, „atrap życia” kojarzył Rilke z amerykańizacją. A teraz my amerykańizujemy się jeszcze bardziej, intensywnie używając z ludyczną bez troską tak dziś ekspansywnych kubków. Ich pstre kolory, ozdoby, sentencje, dowcipy i rozmaite koncepty mają zatrzeć efekt bezdusznej seryjności. Te trywialne naczynia, a zarazem gadżety stały się znakiem uczestnictwa w nowoczesnej, masowej, wręcz globalnej, zdemokratyzowanej kulturze. Ale to jest plon drugiej czy trzeciej fali cywilizacyjnego postępu. Tymczasem jego pierwsza fala pojawiła się na Śląsku już przed stu laty, omijając inne, mniej zaawansowane cywilizacyjnie rejony Polski, szczególnie pod rosyjskim zaborem. Wtedy też na szeroką skalę pojawił się przemysłowo rozmnożony kubek, który zyskał tu swoje miano szolki, bo ta pamiątka habsburskiego panowania była już głęboko zanurzona w językowym krwiobiegu.

Dziś trochę mi żal, że w naszym domu nie było szolki, rzewnie zapamiętanej choćby z bieruńskich wakacji. Przed oczyma mam obraz

dziadka, który zawsze pił ze swojej ulubionej, pierwotnie białej, ale za mojej pamięci już zszarzałej, ciężkiej, grubo toczonej, kubicznej filiżanki. Filiżanki – bo tak ją nazywał, wedle relacji mamy i wujostwa. Ale w pamięci mojego ucha nie było to oczywiste, więc spieraliśmy się z mamą o to jedno słowo dziadka. Może zasugerowały mnie okazałe dłonie dziadka, świadczące o chłopskim rodowodzie, ale też ćwiczone do klawiszy fisharmonii, do szewskiego kopyta i gotyckiej kaligrafii, więc niepodobne do moich, tak jakby należały do innego, dawnego świata; dłonie, które chwytając co dzień wytarte ucho swojej odwiecznej własności, mogły dotykać szolki.